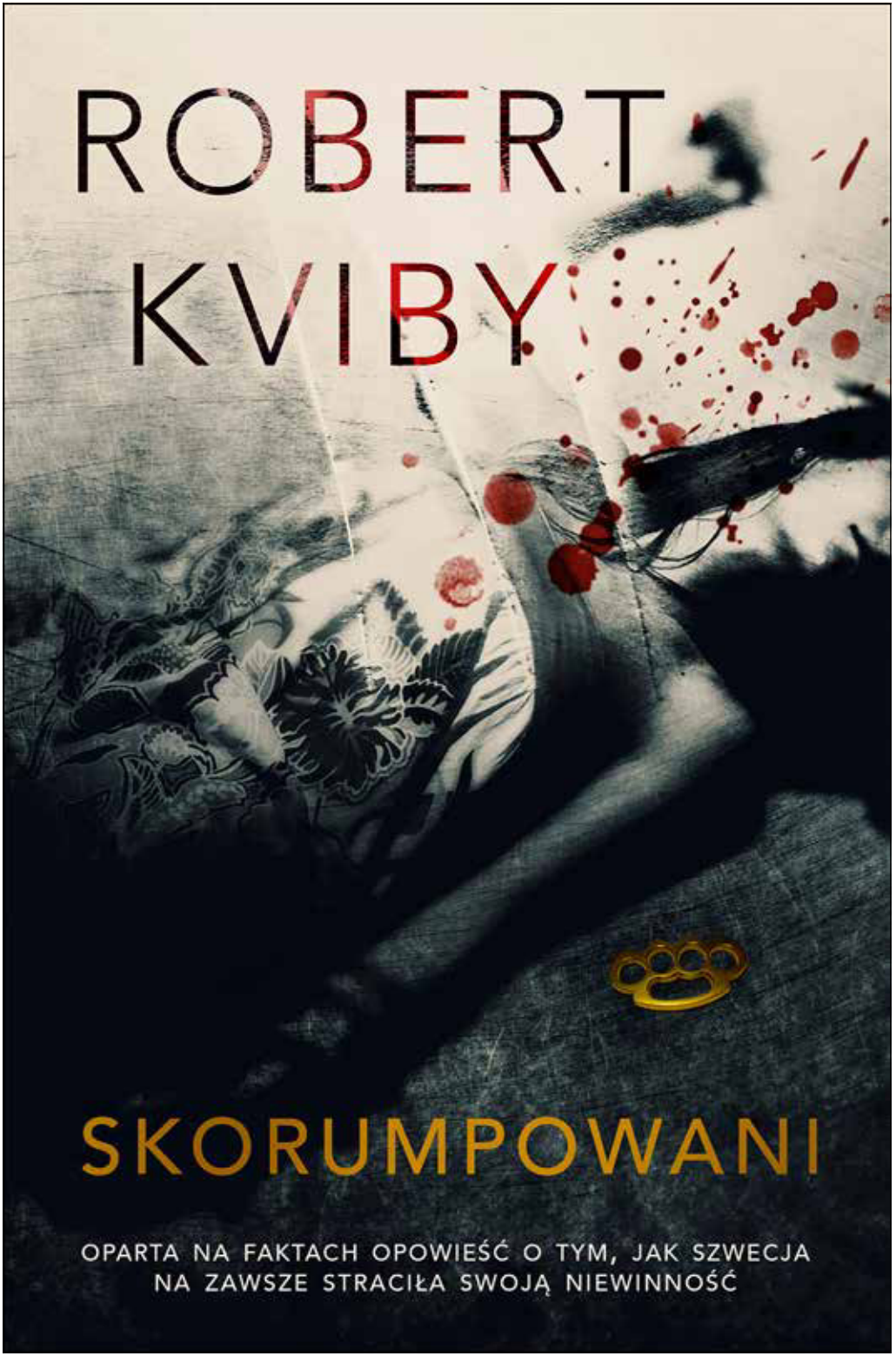


ROBERT KVIBY



SKORUMPOWANI

OPARTA NA FAKTACH OPowieść o tym, jak Szwecja
na zawsze straciła swoją niewinność

Mężczyźni i kobiety

— Widzę, że praca wre.

Annie Lander uniosła głowę. Redaktor naczelny, Jan Wikholm, był gotowy do wyjścia. Dochodziła siódma i w części redakcji należącej do dziennikarzy śledczych oprócz nich nie było już nikogo. Piątkowy wieczór. Annie się uśmiechnęła. Wikholm zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce i pochylił się nad biurkiem.

— Wybieramy się z chłopakami na piwo na Vasagatan — powiedział z uśmiechem. — Może się z nami napijesz? Towarzystwo takiej ślicznotki na pewno zrobiłoby na nich wrażenie.

— Wierzę ci na słowo — odparła Annie, unosząc brwi. — Dzięki za komplement, ale jestem umówiona z Maxem, wybieramy się na kolację. I tak jestem już spóźniona.

— Do jego przyjaciół czy twoich?

— Jego.

— Są w porządku?

— Jak najbardziej.

Wikholm wydał wargi.

— Więc co tu jeszcze robisz?

— Musiałam coś przeczytać — odparła Annie, wskazując stos papierów na biurku. — Inaczej nie dawałoby mi to spokoju przez cały weekend.

— Dalej piszesz o tamtych dziewczynach?

— Powiedziałabym raczej, że o facetach.

Wikholm skinął głową i zapalił kolejnego papierosa. Głęboko się zaciągnął i wydmuchnął dym w bok.

— Twój facet nadal zarabia na życie, grając na gitarze?

— Mój mąż. Tak, a czemu pytasz?

— Słyszałem niedawno takie powiedzonko, właściwie dowcip. Wiesz, jaka jest różnica między pizzą a gitarzystą?

Annie pokręciła głową.

— Pizzą można nakarmić całą rodzinę — powiedział Wikholm, przekrzywiając głowę.

— Nie bądź wredny. Robi to, co kocha, i robi to fantastycznie. I za to go kocham. Jesteś po prostu zazdrosny.

— Pewnie masz rację — odparł Wikholm, wydmuchując chmurę dymu. — Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy zazdrośni. Staramy się to skrzętnie ukrywać, ale każdy facet w redakcji żyje nadzieją, że za niego wyjdiesz.

Annie odsunęła krzesło od biurka.

— Właśnie to próbujecie zawsze zrobić: zredukować kobietę do postaci madonny, która zjawi się nagle i wyciągnie was z waszego wymyślonego piekła. Jak jakaś Florence Nightingale.

Wikholm wsunął papierosa do ust, wzruszył ramionami i zaczął zapinać płaszcz.

— Nie zabijaj posłańca, Annie — powiedział.

— Mam dla ciebie wiadomość. Przekaż ją chłopakom, jak nadarzy się okazja.

— Czuję, że zboli, ale dawaj. Za godzinę i tak będę pijany — odparł Wikholm i głośno się roześmiał.

— Wiadomość brzmi następująco: mam już męża, z którym zamierzam się zestarzeć. Poza tym nikt i nic was już nie uratuje, bo wszyscy jesteście beznadziejni.

Wikholm zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami, a potem skinął głową.

— Wydaje mi się, że dwa lata temu żona powiedziała

mi coś podobnego. — Ruszył w stronę drzwi. — Miłego wieczoru. Jesteś surowa, ale sprawiedliwa — dodał. Roześmiał się głośno i pomachał jej na pożegnanie.

— Nie wracaj zbyt późno do domu! — zawołała za nim Annie.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad stosem papierów zalegających biurko. Jeszcze raz przeczytała informację od policji. Kolejna dziewczyna, którą znaleziono martwą. Marianne. Miała siedemnaście lat. Utrzymywała bliskie kontakty z pozostałymi dziewczynami i wiele je łączyło. Niestety, na razie jeszcze nie wie co. Dziś wieczorem też niczego nowego nie odkryje.

Spojrzała na zegarek. Była już spóźniona. Miała się spotkać z Maxem na Tennstopet, przy skrzyżowaniu Dalagatan i Odengatan. Przez chwilę rozważała, czy do niego nie zadzwonić i nie zaproponować, żeby spotkali się już u Patrika i Lisy, ale zrezygnowała i zaczęła się ubierać. Praca nie ucieknie. Max czeka na nią od godziny. To cztery piwa, pomyślała. Może pięć. Co ma powiedzieć? Przecież to ona się spóźnia.

. . .

Poznali się w kwietniu 1987 roku. Wylegiwali się na trawnikach, pieścili się i nie zwracali uwagi na nadciągające czarne chmury. Spędzili ze sobą całe lato, dobrze się poznali, ale nie przestawali być sobą ślepo zauroczeni. Po roku zamieszkali razem i wzięli ślub. Rok później Annie zaszła w ciążę. Nie rozmawiali o tym. Po prostu się stało. Przyszło im to równie łatwo jak oddychanie.

Poznali się w klubie jazzowym, w którym Max występował. Poszła tam z kolegami z redakcji. Był to jeden z tych wieczorów, o których potem rozmawiali tyle, aż w końcu nabierały mitycznych rozmiarów, chociaż niczego takiego nie oczekiwali. Wszyscy byli ładnie ubrani, jedli pyszne małże i wypili mnóstwo piwa. No i muzyka: nie potrafili tego

zrozumieć, ale działała jak narkotyk. Tylko ona i Max wiedzieli, że ten wieczór na zawsze odmieni ich życie. Inni cieszyli się tylko z przyjemnego pobytu w niewielkim lokalu. A oni zakochali się w sobie po uszy.

Wszystko to działo się długo po niewyjaśnionej sprawie morderstwa premiera Palmego. Tamtego wieczoru wszyscy się cieszyli, że mogą rozmawiać o czymś innym niż sytuacja w Szwecji, pić alkohol, śmiać się i żartować ze swoich szefów. Tylko oni dwoje wiedzieli. Patrzyli na siebie, a Max przez cały wieczór grał. Nie znał się na podrywaniu kobiet, ale zastosował kilka sztuczek. Następnego dnia Annie znowu przyszła do klubu, żeby go posłuchać. Tym razem sama. Po występie odprowadził ją do domu.

— Mam pewną tezę — powiedziała, gdy zatrzymali się przed wejściem do budynku. — Ludzie piszą, bo chcą przekazać coś, czego nie potrafią zachować tylko dla siebie. A muzycy grają, żeby zaciągnąć kogoś do łóżka.

— W takim razie oboje mamy dziś wieczorem swoją szansę — odparł Max. Głośno się roześmiała i już wtedy wiedzieli, że będą ze sobą. Potem Max nieraz myślał, że wykazał się wtedy odwagą. Od pierwszej chwili czuł się przy niej inaczej niż zwykle.

. . .

Patrik wzniosł powitalny toast i wszyscy zgodnie z tradycją wymienili spojrzenia. Max zatrzymał wzrok na Annie i od razu pożałował, że nie są sami. Na razie nie chcieli nikomu mówić, ale ze względu na ciążę Annie nie powinna pić alkoholu. Jeszcze kilka tygodni, i tajemnica się wyda. Był podenerwowany, ale szczęśliwy. Głównie dlatego, że kochał ją ponad wszystko, ale także dlatego, że to za jego sprawą zaszła w ciążę. Prymitywny zakamarek jego mózgu wołał: jesteś mężczyzną, który może się rozmnażać! Potencjalnie istnieją dwa miliardy kobiet, którym mógłby wyświadczyć tę samą przysługę. Skupił się na tym pierwszym powodzie

i spojrzał Annie głęboko w oczy. O tym drugim zapomniał, gdy upił kolejny łyk wina.

Annie obserwowała go i zauważyła, że jest już pijany. Była na siebie zła, że wyszła z pracy później, niż zamierzała. Kiedy położyła mu dłoń na nodze, Max uniósł wzrok.

— Jesteś dziennikarką — zaczął Erik. — Co sądzisz o całej tej debacie o kobietach i mężczyznach?

Erik był ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na ręce miał ciężki zegarek, oczy przesłaniały mu ciemne okulary.

— Jaką debatę masz na myśli?

— Zdaje się, że w prasie toczy się debata na temat mężczyzn; prowadzicie ją wy, dziennikarze. Coś o wolności i takie tam. — Erik się uśmiechnął.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co masz na myśli — odparła Annie. Zdjęła rękę z nogi Maxa i oparła łokcie o stół. — Może mi podpowiesz?

Zamiast Erika odpowiedział jej Patrik.

— Chodzi o tę panikę moralną, robienie z mężczyzn potworów. Zaczęło się po morderstwach popełnionych na kobietach. Pewnie, że to straszne, ale nie znaczy od razu, że wszyscy mężczyźni są potworami.

— No właśnie — przytaknął Erik, zanim Annie zdążyła odpowiedzieć. — Czytałem niedawno o akcji społecznej przeciwko pornografii. O co im chodzi? Że jak oglądasz pornosy, to zaraz zwariujesz i zaczniesz mordować kobiety?

Roześmiał się i czekając na odpowiedź Annie, wypił łyk wina. Jego przyjaciółka, Anneli, poczerwieniała.

Annie spojrzała na Maxa, a on na nią. W myślach zachęcał ją: rozerwij go na strzępy. Miał nadzieję, że żona wyczyta to w jego oczach.

— Nie sądzę, ale co nam szkodzi podyskutować o pornografii? Można się o nią spierać jak o każdą inną sprawę. Czy to dobre? Czy może wpłynąć na nasz sposób postrzegania płci przeciwnej? Nie należę do tych, którzy

uważają, że o pewnych sprawach się nie dyskutuje. A ty?

Erik spuścił wzrok i zaczął grzebać w jedzeniu na talerzu.

— Też nie — odparł, unosząc spojrzenie.

Max uśmiechnął się pod nosem. Annie była jego idolką.

— Powiem ci, co mnie niepokoi: właśnie te sprawy, których się nie porusza we wspomnianej debacie — kontynuowała Annie.

— Na przykład?

— Myślę na przykład o propozycji nowej ustawy z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku dotyczącej przestępstw na tle seksualnym. Komisja liczyła dziewięciu członków, ale była wśród nich tylko jedna kobieta. Wszyscy mężczyźni mieli ponad sześćdziesiąt lat. Zaproponowali, żeby obniżyć dolną granicę wieku, od którego dopuszcza się czynności seksualne z nieletnimi, z piętnastu do czternastu lat. Chcieli usunąć z Kodeksu karnego stręczycielstwo i kazirodztwo, a pojęcie gwałtu zarezerwować tylko dla tych przypadków, w których sprawca wykazał się szczególnym okrucieństwem albo bezwzględnością. Twierdzili, że należy zbadać relację ofiary z mężczyzną, a także odpowiedzieć na pytanie, czy zanim doszło do przestępstwa, kobieta pozwoliła mu na poufałości. To i wiele innych rzeczy pokazuje, w jakim społeczeństwie żyjemy. Takie społeczeństwo chcą stworzyć ludzie sprawujący władzę. I właśnie o tym chciałabym usłyszeć w debacie.

Erik oparł się o poręcz krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

— Chcesz powiedzieć, że wszystkim nieszczęściom, do których dochodzi w Szwecji, winni są mężczyźni powyżej sześćdziesiątki?

— Nie, ale jeśli jesteś kobietą i nie zajmujesz w społeczeństwie wysokiej pozycji, to moim zdaniem jesteś zdana na ich łaskę. Twój los jest w ich rękach. Jeśli coś się zdarzy, będą się tylko przyglądać i żaden z nich nawet nie kiwnie palcem. Jestem zdania, że są gotowi wiele zrobić, żeby nic się nie zmieniło, nie wyszło na jaw ani nie zostało

podane w wątpliwość. Jak to się dzieje, że każdego roku są mordowane kobiety, że ich zwłoki są porzucane na ulicach takiego miasta jak Sztokholm i nigdy nie udaje się wykryć sprawcy? Może policja nie interesuje się każdym przestępstwem w równym stopniu? Jeśli zostaje zamordowana prostytutka, być może policja nie poświęca sprawie zbyt wiele uwagi? Niektórym ludziom może nawet na tym nie zależeć.

— To bardzo poważne oskarżenie — zaoponował Patrik.

— Co ty na to, Max? — spytał Erik.

— Na co?

— Dlaczego policji miałyby nie zależeć na wyjaśnieniu niektórych spraw — powiedziała Anneli, zanim Erik zdążył streścić Maxowi dyskusję. — Przecież to ich praca — dodała, zerkając na Maxa, który sprawiał wrażenie nieobecnego i był już chyba zbyt pijany, żeby brać udział w jakiegokolwiek dyskusji.

— Nie twierdzę, że policja nie chce wyjaśniać przestępstw — sprostowała Annie. — Może tylko nie chcą, żeby pewni ludzie okazali się sprawcami? I to niekoniecznie policja ukręca sprawie łeb.

— Tylko kto? — spytał Patrik.

— Przyjrzyjcie się aferze Geijera. Centralny Urząd Śledczy wysłał premierowi Szwecji raport z informacją, że minister sprawiedliwości w jego rządzie często odwiedza pewien burdel, w którym pracują Polki, powiązany z rosyjskim wywiadem. Sprawa wpływa w mediach, ale ktoś ją tuszuje. Media przepraszają i zaczynają się kajać. Do zatuszowania sprawy dochodzi prawdopodobnie nie pierwszy raz.

— Jeśli to rzeczywiście było tuszowanie sprawy — powiedział z szerokim uśmiechem Erik. — Przecież policja mogła się pomylić. A może Geijer miał sobowtóra?

— Albo premier Szwecji chciał coś ukryć przed narodem, który go wybrał. Przecież do kolejnych wyborów było już tylko kilka tygodni. — Annie nie spuszczała z niego wzroku.

Stopą wybijała pod stołem takt do muzyki, którą słyszała tylko ona.

— Więc co chcesz powiedzieć? — spytał Erik. — Że całe to zamieszanie wokół zamordowanych prostytutek jest elementem tuszowania sprawy?

— Może tak być — potwierdziła Annie. — Brzytwa Ockhama: nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę. Jeśli policja nie potrafi znaleźć sprawcy zbrodni, najprostsze wyjaśnienie jest takie, że albo nie chcą, albo im nie wolno.

Patrik skinął głową i sięgnął po szklanke.

— Ciekawe. Powinnaś o tym napisać. Naprawdę.

Annie i Patrik mieli różne poglądy na prawie wszystkie sprawy. Mimo to lubiła go jak brata.

— Niewykluczone, że to zrobię — odparła z uśmiechem.

Potem rozmowa zeszła na kwestie tak przyziemne, jak pogoda w zimie. Spierali się też, która restauracja jest ostatnio najlepsza. Annie rozmyślała o serii artykułów na temat zamordowanych kobiet. Właśnie przygotowywała je do druku.

Ciało ostatniej ofiary, Marianne, znaleziono przed dwoma miesiącami w Rosersbergu. Pierwszej — przed siedmiu laty. Dwudziestodwuletnia Marie została znaleziona martwa w parku Humlegården w maju 1982 roku. Dwudziestosiedmioletnia Catrine w Solnie w lipcu 1984 roku. Elisabeth, która miała dwadzieścia cztery lata, w Hägersten w lutym 1985 roku. Każda była prostytutką i wszystkie były przed trzydziestką. Znajdowano je w lasach albo w parkach. Żadna nie miała na sobie ubrania. Zwłoki porzucono tam, gdzie zostały znalezione, ale udało się ustalić, że ofiary ginęły gdzie indziej. Annie była przekonana, że sprawca morduje systematycznie. Cztery kobiety spotkały się z tym samym mężczyzną i dla każdej z nich skończyło się to śmiercią.

W trakcie badań dowiedziała się o lokalach, gdzie prostytutki serwują mężczyznom drinki. I o ukrytym pokoju,

w którym przebywa on. Papież. Kozioł. Ma wiele imion, jak wszyscy ci, którzy są kochani albo napełniają innych bezgranicznym strachem. Zawsze tam był. Każdy tylko czekał na okazję, żeby zerknąć do środka. Mężczyźni byli gotowi zrobić wszystko, byle ich tam wpuszczono, a kobiety za nic w świecie nie chciały tam wejść. Niestety, zapłacono im, żeby robiły, co kazał, i nie miały wyboru. Mogły tylko czekać, aż ktoś otworzy drzwi i potem zamknie je na klucz. Na koniec pozostawało o wszystkim zapomnieć. O życiu kurwy.

Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą robi, Annie zamierzała uczynić wszystko, żeby pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy odebrali tym kobietom życie. Jest im to winna jako kobieta. Jest też winna to swojej matce — jako córka.

Kiedy zmarli jej przybrani rodzice, prawda o tym, co przydarzyło się jej biologicznej matce, wyszła na jaw. A przynajmniej część prawdy. Ciągłe słyszała opowieść o kobiecie, która odebrała sobie życie. Jednak prawda była taka, że jej matka została zamordowana, a sprawcy nigdy nie znaleziono. A ponieważ w rubryce „ojciec” wpisano słowo „nieznany”, umieszczono ją w rodzinie zastępczej. Ojciec nigdy się nie ujawnił.

Z pewnych powodów nie opowiedziała o tym Maxowi. To jedna z tych chorych rzeczy, które dzieją się w związkach. Człowiek nosi coś w sobie tak długo, aż w końcu czuje, że nie umie o tym opowiedzieć. Kiedyś opowie, pewnie przed urodzeniem dziecka, ale jeszcze nie teraz. Na razie spróbuje odkryć prawdę o tym, co wydarzyło się przed trzydziestu laty. To między innymi dlatego pisała artykuły o zamordowanych kobietach. Była dziennikarką śledczą w jednej z największych gazet w Szwecji. I to jedną z najlepszych. Jeśli ktoś potrafił odkryć prawdę, to właśnie ona. Przestała o tym myśleć, gdy wśród okrzyków podziwu Lisa podała deser.

. . . .

— Byłoby fajnie, gdybyś czasem też się włączył do dyskusji — powiedziała, kiedy po spotkaniu wsiadali do taksówki.

Max spojrzał na Annie, ale nie udało mu się zająrzeć jej w oczy. Po głosie poznał, że nie jest na niego zła. Wyciągnął do niej rękę. W taksówce było zupełnie ciemno. Kierowca prowadził jak pirat drogowy. Max skupił wzrok na zagłówek na przednim siedzeniu. Wszystkie odpowiedzi wyparowały mu z głowy. Annie spojrzała na niego, a gdy opadły mu powieki, uściśnęła jego dłoń. Max otworzył oczy i odwzajemnił uścisk.

Tradycja i ambicja

1

Drugiego dnia polowanie na lisa trwało prawie dwie godziny, ale nic się nie zdarzyło. W końcu ktoś z nagonki wydał głośny okrzyk, który odbił się echem i wrócił do zabudowań dworku. Lis ukrył się w norze. Buster Droth otrzymał polecenie, aby sprowadzić psa. Jego ojciec, Johan Droth, stanął na powalonym ośnieżonym pniu dwa metry od wylotu nory. Buster przyprowadził teriera i dał ojcu znak, żeby naprowadził psa na jamę. To było dobre zwierzę i Johan Droth mu ufał. Okazało się, że i tym razem się na nim nie zawiódł. Chwilę później list wypadł z nory jak z procy. Droth uniósł dubeltówkę kaliber dwanaście milimetrów, wystrzelił i lis padł na śnieg powalony garścią śrutu. Mężczyzna przyjął od myśliwych gratulacje i podszedł do zabitego zwierzęcia. Wszyscy byli zadowoleni, że to on upolował lisa.

Polowanie na lisa w Upplandzie było tradycją sięgającą czasów, gdy ojciec Drotha kupił dwór i posiadłość koło Gimo. Było to w latach trzydziestych, dwa lata po powrocie z Ameryki. Kiedy ojciec zmarł, Johan Droth junior odziedziczył dwór. Na początku każdego roku zapraszał do siebie dyrektorów z różnych firm i urzędów. Wspólny pobyt rozpoczynali od dwudniowego polowania. Krążyło mnóstwo opowieści o polowaniach, w których trakcie dyrektorom

niższego szczebla udawało się ustrzelić zwierzynę, a Johan Droth wracał do domu z pustymi rękami. Wtedy myśliwy sam stawał się ofiarą, bo Johan chciał ustrzelić cokolwiek: przy użyciu strzelby albo swej nieograniczonej władzy. Goście dobrze o tym wiedzieli, ale nikt o tym głośno nie mówił. O takich rzeczach rozmawia się w cztery oczy, a jeśli pewne słowa padną w większym gronie, po chwili wszyscy udają, że nic się nie stało. Dowcipy o Machiavellim, docinki o kształtowaniu własnego wizerunku, przezwiska i przydomki...

Przed dwunastą Johan Droth osobiście otrąbił koniec polowania. Przy obiedzie podziękował miejscowym gościom za obecność i pożegnał się z nimi. Wśród nich był pewien polityk weteran z Uppsali, który stał na czele komisji budowlanej i całkiem niedawno podjął wiele decyzji z korzyścią dla branży Drotha. Ci, którzy zostawali dłużej, poszli się przebrać, aby o drugiej stawić się w salonie na oficjalne spotkanie. Mieli tam pracować do wieczora. Do kolacji o dziesiątej kazano im włożyć smokingi.

Za piętnaście druga wszyscy zebrali się w gabinecie przylegającym do salonu. Czekala tam na nich whisky. Na ścianie wisiał portret Johana Drotha seniora, namalowany pod koniec lat pięćdziesiątych przez Biancę Wallin, nadworną malarkę księżniczki. To dlatego gabinet nazywano pokojem króla Gustawa Adolfa.

Jako pierwszy w gabinecie zjawił się Buster Droth. Kiedy przyszli pozostali goście, siedział już w fotelu przy kominku. Na stoliku obok niego stała butelka bourbona, którą kazał sobie przynieść. Elijah Craig był jego ulubionym gatunkiem, dostarczany z USA. Kiedy starszy Droth zobaczył butelkę, zawołał służącego. W gabinecie zapadła cisza. Buster spoglądał na ojca z głupawym uśmiechem.

— Możesz sobie pić te amerykańskie perfumy — powiedział Johan. — My napijemy się whisky słodowej.

Wszyscy się roześmiali. Na początku cicho, ale po chwili

śmiech zaczął narastać. Na stole pojawiła się nowa butelka i każdy sobie nalał. Czując spojrzenie Johana, mężczyźni nadal głośno się śmiali. Johan popatrzył po nich, dopił swoją whisky, wstał z krzesła i nie patrząc na nikogo, podeszedł do drzwi do salonu.

. . .

Johan Droth junior urodził się w Nowym Jorku. Do Szwecji przyjechał w wieku jedenastu lat, gdy w Ameryce skończył się wielki kryzys. Wychowywał się na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West, a jego rodzina mieszkała przez pewien czas w tym samym budynku, co gwiazda radiowa Walter Winchell. W 1931 roku rodzina Drothów wsiadła na statek *M/S Kungsholm* i popłynęła do Göteborga. Matka Johana kazała mu włożyć marynarskie ubranko, a jego starszym siostróm, Merill, Rosie i Judith — sukienki. Pasażerowie mieli podziwiać ich w czasie podróży i w chwili zejścia na ląd. Matka Johana była czuła na tym punkcie. Zależało jej, aby wszyscy widzieli, z kim mają do czynienia, że nie są ubogimi emigrantami, którzy porzucili sen o Ameryce i postanowili wrócić do kraju. Oni odnieśli sukces, i to duży. Ojciec Johana przyjechał do Ameryki razem z innymi Szwedami na początku stulecia, ale udało mu się i stał się bogaty, jeszcze zanim pozostali zdążyli zejść ze statku i znaleźć dylizans do Chicago. Przez pewien czas prowadził biznes z ojcem pierwszego katolickiego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Interesowała ich branża alkoholowa, a także giełda na Wall Street.

Johan Droth senior zdobył w Nowym Jorku władzę i spory majątek, więc po powrocie do Szwecji mógł przystąpić do realizacji swojego marzenia o stworzeniu dynastii. W kraju obowiązywało racjonowanie alkoholu, a Szwedzi byli go spragnieni tak samo jak mieszkańcy Nowego Jorku. Alkohol sprowadzano z Estonii i Niemiec. Ktoś płacił, ktoś

inny przemycał.

Od kiedy w latach trzydziestych Johan Droth senior wyeliminował wielu mniejszych graczy w Sztokholmie, sporo się zmieniło. Szwecja stała się innym krajem, wielkie przeobrażenia dokonywały się także na całym świecie. Mimo to rodzina zdołała się dopasować i wykorzystywała swoją pozycję, aby działać w nowych branżach. Można powiedzieć, że od kiedy Johan Droth junior przejął stery, żył zgodnie z rodzinną dewizą, która brzmiała: „Najwyższe osiągnięcia to nasz standard”.

. . .

Stół w salonie przypominał kształtem końską podkowę. Pośrodku siedział Johan Droth junior, u swego boku miał najbliższego doradcę, Martina Hellstena. Z drugiej strony siedział jego jedyny syn, Buster. Pozostałe miejsca zajmowało dwunastu gości. Wszyscy byli mężczyznami, wywodzili się z klasy średniej, a ich iloraz inteligencji odpowiadał stanowi konta bankowego. Nigdy nie było wśród nich kobiety. Droth nie zatrudniał nawet stenografek. Uważał, że tak jest najłatwiej. Zgodnie ze zwyczajem sekretarzem był zawsze najmłodszy z dyrektorów. Conny Jonsson, który skończył czterdzieści cztery lata, pełnił tę funkcję przez pięć lat. Do czasu, gdy na posiedzeniu pojawił się Buster, który był najmłodszym członkiem zgromadzenia i jako jedyny nie przekroczył czterdziestki.

Zebrani spoglądali na starszego Drotha, a on przenosił wzrok z jednego dyrektora na drugiego. Siedział i milczał. Nawet ci, którzy z nim pracowali, czuli, jak zmienia się nastrój, gdy Johan Droth wchodzi do pokoju. Nowi członkowie grupy mieli wypieki na twarzach. „Przybył lord Vader”, żartował kiedyś Buster. Na te słowa mężczyźni odwracali wzrok i wychodzili z pokoju.

Droth napił się wody ze szklanki, odchrząknął i rozpoczął mowę:

— Większość z was wie, że interesuję się historią i że się na niej znam. I właśnie od tego chcę zacząć. „Historia uczy nas, że ludzkość niczego się z niej nie nauczyła”, powiedział pisarz George Bernard Shaw. Czy ktoś zgadza się z tym twierdzeniem?

Rozejrzał się po pokoju, ale większość mężczyzn tylko spoglądała po sobie albo spuszczała wzrok. Droth się skrzywił, jakby chciał pokazać, że ma do czynienia z bandą lizusów. Ale między innymi właśnie dlatego ich zatrudnił.

— Shaw się mylił. Mamy wspaniałą historię i możemy się z niej wiele nauczyć, jeśli chcemy mieć równie wspaniałą przyszłość. Nasze doroczne spotkania w nieprzebranych lasach Upplandu organizuję także ze względów historycznych. Tę posiadłość kupił mój ojciec. Ma ona historię, która po części przypomina moją. Zanim zajmiemy się interesami, poświęcę chwilę, aby ją wam opowiedzieć.

Rozparł się na krześle i położył dłonie na oparciach.

— Było to tak: w tysiąc sześćset czterdziestym trzecim roku istniejący tu państwowy zakład został odsprzedany ojcowi szwedzkiego przemysłu, Louisowi De Geerowi. Był on z pochodzenia Holendrem, ale to właśnie Szwecję wybrał na swoją ojczyznę. Robić interesy nauczył się w domu, od ojca, a także podczas licznych podróży. Nie omieszkam zauważyć, że jestem w tym do niego podobny.

Skinął głową i rozejrzał się po pokoju. Patrzył po kolei na każdego z dyrektorów, a gdy ich spojrzenia się spotykały, każdy z nich też kiwał potakująco głową. Johan Droth pomyślał, że to faktycznie zwykłe lizusy. Każdy z nich boi się stracić pracę, dom, samochód i członkostwo w klubie.

— Tak jak De Geer zarządzaliśmy krajowym przemysłem i przedsiębiorstwami usługowymi, stosując nowoczesne myślenie. Stworzyliśmy dominujący koncern z filiami na całym świecie i wzięliśmy udział w wielkim skoku, którego dokonał szwedzki przemysł stalowy. Pełnimy funkcję doradców, a radami w wielu różnych kwestiach wspieramy

szwedzkie państwo. De Geer współuczestniczył w tworzeniu szwedzkich kolonii. To między innymi on założył afrykańską kompanię handlową w Cabo Corso, którą później nazywano Szwedzkim Złotym Wybrzeżem albo Ghaną. Podobno nadal istnieje tam wioska, której mieszkańcy mówią po szwedzku z akcentem De Geera. Przez dziesiątki lat, gdy chodziło o stworzenie powiązań między Szwecją a potencjalnymi koloniami, byliśmy jedną z czołowych branż. A teraz jesteście tutaj. Nasze zadanie polega na kontynuowaniu tego dzieła. Patrząc na was i chcąc się upewnić, że to właśnie wy potraficie wykonać to zadanie.

Spojrzał po zebranych, ale każdy z nich patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Niektórzy słyszeli przemówienie Drotha po raz pierwszy. Inni już wcześniej kilkanaście razy gapili się przed siebie w podobny sposób.

Johan Droth wodził wzrokiem wokół stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż w końcu zatrzymał go na jednym z nowych dyrektorów. Jego wybór nie był przypadkowy. O każdym z obecnych wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Nie, nie było mowy o przypadku.

— Panie Karlvik, z jakiego powodu jest pan tu dzisiaj z nami? — spytał.

Jan Karlvik miał grube rysy twarzy i ciemne włosy po bokach głowy. Jego garnitur w białe prążki podkreślał atletyczną budowę ciała. Karlvik skończył niedawno czterdzieści trzy lata i krótko przedtem został mianowany dyrektorem jednej z szybko rozwijających się spółek z branży stalowej. Szkoła w Niemczech, szkoła dla tłumaczy, uniwersytet w Uppsali, Wyższa Szkoła Handlowa. Prawdziwa elita.

— Słucham?

Droth wstał z krzesła i pochylił się nad stołem. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze swojej ofiary.

— Przepraszam, ale nie zrozumiałem pytania — powiedział Karlvik.

— Pytanie brzmiało i nadal brzmi następująco: z jakiego powodu jest pan tu dzisiaj z nami? — spytał Droth podniesionym głosem. — Dlaczego nie miałbym pana stąd wyrzucić, zapakować do taksówki czekającej przed wejściem i odesłać do domu? Chcę, żeby mi to pan wytłumaczył.

Karlvik nabrał głęboko powietrza. Już wcześniej słyszał, co się działo w posiadłości Drotha, ale nie był przygotowany na tak ostro zadane pytanie. Wypił łyk wody, żeby zyskać na czasie, i spojrzał na swojego chlebobawcę.

— Na takie pytanie można z pewnością odpowiedzieć na wiele różnych sposobów, ale najprostsza odpowiedź jest taka, że znalazłem się tutaj, ponieważ jestem dobry w tym, co robię. Poza tym zamierzam przynieść koncernowi korzyści nieosiągalne dla innych.

— A jakież to ma pan cechy, których pana zdaniem nie posiadają inni w tym pokoju?

Karlvik spojrzał na Drotha, ale nie odpowiedział na jego pytanie. Zerknął na siedzących naprzeciwko pozostałych mężczyzn, z którymi rozmawiał w ciągu dnia, i nagle poczuł, że nie pamięta nawet, jak się nazywa i co robi.

— Niech pan nie zwleka z odpowiedzią, bo mogę zwątpić, czy podjąłem słuszną decyzję, mianując pana na to stanowisko.

— Jestem bezwzględny — wykrztusił Karlvik. — Jeśli postawię sobie cel, zrobię wszystko, żeby go osiągnąć. Jestem też sprytniejszy od innych.

— A więc to tak — przerwał mu Droth. — Niech pan popatrzy na każdego z moich dyrektorów. Twierdzi pan, że jest bardziej bezwzględny i sprytniejszy od większości z nich i dlatego nadaje się pan lepiej od innych na stanowisko dyrektora zarządzającego w spółce, w której teraz pan pracuje? Mam rację?

Karlvik przełknął ślinę i starał się ze wszystkich sił nie patrzeć na siedzących naprzeciwko niego mężczyzn. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią i w końcu odparł:

— Tak, ma pan rację.

— To dobrze — odrzekł Droth. — Taka odpowiedź mnie zadowala. Jeśli jednak po prostu zadziera pan nosa, twierdząc, że jest bardziej bezwzględny i inteligentniejszy niż panowie pracujący w koncernie od dawna, którzy na dodatek odnoszą sukcesy, to chciałbym usłyszeć, czego zamierza pan dokonać w tym roku. Nie interesuje mnie jednak zwykłe głędzenie o wzroście i zysku. To się rozumie samo przez się, bo po to pana zatrudniłem. Ma pan pięć minut, żeby nas przekonać. Proszę zaczynać.

Karlvik zrozumiał, że nadeszła ta chwila: teraz albo nigdy. Nie ma nic do stracenia. I rzeczywiście tak było. Pozostali dyrektorzy nie staną się jego przyjaciółmi, bo jest na to za późno albo za wcześnie. Więc powie przynajmniej to, co chce powiedzieć, zanim zjawi się kierowca, aby pomóc mu zapakować walizkę i smoking do bagażnika samochodu czekającego przed wejściem z włączonym silnikiem. Wróci do domu i zaskoczy żonę niemiłą wiadomością.

Wstał więc z krzesła i zaczął mówić. Objął niedawno stanowisko w niewielkiej firmie w Söderfors, niedaleko Gimo. To tam wszystko się zaczęło. Nadal istnieją powody, aby zachować kulturę pracy, którą tam kiedyś stworzono. Zapoznał zebranych z historią spółki i zatrzymał się dłużej przy najważniejszych wydarzeniach. Poinformował, że pracuje obecnie nad połączeniem spółki z podobną firmą w Austrii. Zanim ktokolwiek zdążył zadać mu pytanie, wyjaśnił, że tak naprawdę austriacka firma nie jest mu do niczego potrzebna. Szwedzka spółka ma się dobrze, wypracowuje pokaźny zysk, jest w pełni wypłacalna, a efekt synergiczny fuzji okazał się dość ograniczony. Do czasu ustąpienia ze stanowisk austriacka dyrekcja też nie dostarczy nowych korzyści. Dlatego Karlvik zamierza zatrzymać tylko kilku menedżerów średniego szczebla, a reszcie każe odejść. Austriacka spółka zagwarantuje szwedzkiej międzynarodowy profil. Po fuzji produkcja ruszy w Szwecji, Austrii,

Niemczech, Brazylii, Belgii, Turcji, Chinach, USA i w Meksyku. Karlvik wypowiadał nazwę każdego państwa głośno, w taki sam sposób, jak Olof Palme, gdy mówił o bombardowaniu Hanoi. Na końcu Karlvik podkreślił, że w nowym układzie spółka trafi na giełdę jeszcze w tym roku, co stworzy jej dalsze możliwości rozwoju. Na przykład kolejne, większe, fuzje. Albo ekspansję horyzontalną. Poprawę poziomu sprzedaży. Kto wie, może nawet coś więcej.

Przemawiał cztery minuty i czterdzieści pięć sekund.

Kiedy skończył i usiadł, Droth spojrzał na niego, ale nie skomentował jego wystąpienia. Skinął tylko głową i utkwiał wzrok w kolejnym dyrektorsze, który siedział naprzeciwko. Karlvik wcześniej się z nim witał, ale zapomniał, jak się nazywa.

Droth przepytywał każdego z osobna. Nikogo nie oszczędził z wyjątkiem Hellstena i Bustera. Taksówka nadal czekała przed wejściem z włączonym silnikiem. Im dłużej trwało zebranie, tym bardziej uporczywy stawał się dźwięk silnika. W czasie posiedzenia Buster otrzymał ponad sto poleceń, które miał zanotować, dotyczących takich spraw, jak podjęte zobowiązania, wątpliwości do wyjaśnienia przed następnym zebraniem, kontakty do nawiązania, rezerwacje terminów nowych spotkań i nazwiska osób, do których trzeba dotrzeć. Wszystko to musiał zaprotokołować.

Pod koniec zebrania salon wypełniał zapach potu i strachu.

2

Buster pochylił się nad ojcem i Hellstenem. Położył ojcu rękę na ramieniu i cierpliwie czekał, aż tamci skończą rozmowę i poświęcą mu uwagę. Każdy z nich opanował sztukę czekania do perfekcji. Właśnie podano kawę; za chwilę kolacja dobiegnie końca.

— Tak? — zagadnął Johan Droth, patrząc na syna

pytającym wzrokiem.

— Nie chciałbym przeszkadzać, ale zaraz idę spać. Rano muszę wcześniej wyjechać, żeby nie spóźnić się na samolot.

— Jeśli chcesz usłyszeć bajkę na dobranoc, musisz się zwrócić do kogoś innego. Nawet kiedy sikałeś w pieluchy, nikt nie opowiadał ci bajek przed snem.

Buster skrzywił się i spojrzał na Hellstena.

— Nie o to mi chodziło, ale dziękuję, że znowu mnie oświeciłeś. Chciałem podziękować za dzisiejszy wieczór i zaproponować spotkanie zaraz po moim powrocie. Mam pewien pomysł dotyczący surowców naturalnych na Curaçao.

Johan Droth spojrzał na niego badawczo i odstawił filiżankę na stół. Brzęk porcelany sprawił, że kilka osób odwróciło się w jego kierunku. Wszyscy mieli nerwy napięte jak struny. Buster zerknął na Hellstena, a ten spuścił wzrok na swój pusty talerz. Przed chwilą leżał na nim czekoladowy tort. Przez moment wydawało się, że Droth coś powie, ale odwrócił się i zaczął rozmawiać z mężczyzną po swojej lewej ręce. W trakcie rozmowy nałożył sobie na talerzyk kawałek tortu. Buster wpatrywał się w jego plecy. Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, więc wytarł czoło wewnętrzną stroną dłoni i odprowadzany wzrokiem zebranych ruszył do drzwi. Przechodząc koło barku, poprosił, aby przyniesiono mu do pokoju butelkę Jacka Daniel'sa i skrzynkę coli.

Tak strasznie ich nie znosił — tych wszystkich miernot i lizusów. Miał większe ambicje i plany niż każdy z nich. Jeszcze zobaczą, na co go stać. Nalał sobie do szklanki trochę alkoholu i uzupełnił colą. Uniósł wzrok i w wiszącym nad szafą lustrze ujrzał swoje odbicie. Gdyby tylko wiedzieli, nie odstępowałiby mu na krok, pomyślał z uśmiechem.

3

Johan Droth obudził się tuż po czwartej i dopiero po

chwili przypomniał sobie, gdzie jest, chociaż tyle razy spał w tym pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i powoli zaczęła mu wracać świadomość. Już wiedział, gdzie jest i co tu robi. Miał okropny sen. Śniło mu się, że razem z Busterem stali na piaszczystym podwórzu pod oknem. Trzymał w ręce dubeltówkę, z której przed chwilą oddał strzał i trafił syna w prawy bark, koło szyi. Ciało zostało rozerwane i na piasek polała się krew. Śrut z dubeltówki trafił Bustera również w twarz. Jego syn stracił ząb. Jakies anonimowe głosy zaczęły gratulować Drothowi tak dobrego strzału. Odwrócił się, ale nikogo nie zauważył. Buster uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: nie zdołasz mnie pokonać ani tą bronią, ani żadną inną, jestem wszechpotężny. Johan Droth we śnie poczuł ból w klatce piersiowej. Starał się zrozumieć, jak to możliwe, że syn nadal stoi przed nim wyprostowany. Ból przeniósł się błyskawicznie na lewe ramię, a Droth wypuścił dubeltówkę z rąk i opadł na kolana. Pochylił się i oparł jedną ręką o podłogę, drugą przyciskał do serca. Miał na sobie nocną koszulę. Podeszedł do niego Buster i jego krew zaczęła spływać na Johana Drotha. Czuł, jak przenika przez materiał i lepi mu się do skóry. Zrobiło mu się ciepło. Wiedział, że pozostało mu tylko kilka sekund życia.

Wstał z łóżka i podeszedł do okna. Przesunął dłoń po plecach i stwierdził, że są mokre. W blasku latarni na dziedzińcu widział padający śnieg. Małe, drobne płatki. Poczuł głód, więc postanowił zdjąć koszulę, pójść do kuchni i wziąć z lodówki coś do zjedzenia. Ostatnio coraz częściej budził się o tej godzinie, chociaż powodem rzadko były nocne koszmary. Potem, żeby znowu zasnąć, musiał coś zjeść. Na pewno przytyje, ale uznał, że w tym wieku może sobie na to pozwolić.

Idąc ciemnym korytarzem, zatrzymał się przed pokojem syna. Przez szparę przy podłodze sączyło się światło. A więc Buster nie śpi. Johan Droth podeszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Usłyszał głosy, ale nie potrafił określić, do

kogo należą i czego dotyczy rozmowa. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że słyszy tylko głos syna. Buster rozmawiał przez telefon. Nagle jego głos ucichł i Droth postanowił wrócić do siebie. Jedzenie i sen mogą poczekać.

Dotarły do niego pogłoski, że Buster utrzymuje kontakty z niewłaściwymi ludźmi. Na razie nie miał czasu, okazji ani chęci, żeby go o to spytać, ale wiedział, że syn jest spragniony władzy i łatwo ulega wpływom. Uznał więc, że pogłoski są prawdziwe. Poprzedniego wieczoru się potwierdziły. Był już pewien, że propozycje, które złożył mu Buster — lokaty w USA i eksploatacja zasobów naturalnych na Curaçao — nie były jego pomysłem. Ktoś ma na Bustera albo na całą ich rodzinę haka i stara się go wykorzystać. Może to ktoś, kto jest we wszystko wtajemniczony? Buster nie jest dość silny, żeby poradzić sobie z czymś takim sam. Jest za to dość zaślepiony, żeby dało się zrobić z niego marionetkę. Najwyższy czas sprawdzić, kto tak naprawdę pociąga za sznurki.